

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

PANNA ZE SNU



Włodzimierz Perzyński

Panna ze snu

.....

Fundacja FESTINA LENTE

W ciągu krótkiego, dziesięciominutowego snu między jednym przebudzeniem a drugim śniło się Połońskiemu, że jechał bryczką w towarzystwie jakiejś młodej kobiety. Droga była dziwna: po jednej stronie stały szeregiem wysokie kamienice z oświetlonymi mimo dnia oknami, po drugiej ciągnęło się bezbrzeżne, gładkie pole, na którym tu i ówdzie błyszcząca woda w bruzdach. Połoński miał wrażenie, że przez długi czas jechał sam i nie umiał sobie wytłumaczyć, skąd na bryczce wzięła się nagle młoda kobieta. Chciał ją o to zapytać, ale obawiał się, że sprawiłoby to jej przykrość, więc przyglądał jej się tylko ciekawie, czekając, aby pierwsza zaczęła rozmowę i wytłumaczyła mu zagadkę. Nagle obejrzawszy się za siebie zobaczył, że do oparcia bryczki były przymocowane dwa wysokie drążki, połączone u góry siecią drutów.

Wtedy zwrócił się do swej tajemniczej towarzyszki.

— Skąd się tu to wzięło?

— To ja kazałam założyć radiotelefon —
odpowiedziała mu z uśmiechem — żeby nam przyjemniej było jechać.

Połoński roześmiał się wesoło:

— Ho, ho... to prawdziwy postęp. — I w tej chwili się obudził.

Spojrzał na zegarek: było wpół do dziewiątej. Po tygodniowym pobycie w Warszawie Połowski miał za sobą szereg niedospanych nocy i kładł się do łóżka (znów o piątej rano) z silnym postanowieniem, żeby się wyspać do jakiejś dwunastej albo i pierwszej, tym bardziej że już pozałatwiał wszystkie interesy, jakie stanowiły cel jego przyjazdu i nic nie miał do roboty. Według planu powinien był wyjechać rannym pociągiem o ósmej, ale odłożył wyjazd na popołudnie dlatego właśnie, żeby odespać warszawskie hulanki, które zresztą święcie mu się należały po klasztorным życiu na wsi. Wtulił więc głowę w poduszkę i usiłował zasnąć z powrotem. Ale na próżno. Obraz młodej kobiety ze snu został mu tak żywo w pamięci, że nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ją naprawdę znał i spotykał. Tylko w żaden sposób nie mógł przypomnieć sobie gdzie i w jakich warunkach. I ta ciekawość, żeby znaleźć odpowiednik realny dla sennej wizji, zaczynała go tak prześladować jak zapomniana melodia albo nazwisko, o których się wie, że tkwią w głowie i tylko wymykają się złośliwie sprzed ścigającej je myśli. Wyciągał z pamięci od najdawniejszych czasów wszystkie domy w których bywał, zebrania towarzyskie, bale, wreszcie wszystkie kobiety, jakie przewinęły mu się przez życie, choć zdawał sobie sprawę, że w tym środowisku poszukiwania nie miały sensu, bo panna ze snu była zaprzeczeniem typów powyższych. Raz po raz ogarniała go głucha irytacja na siebie samego za te

niepotrzebne wysiłki pamięci, które wybijały go tylko ze snu, ale nerwowy upór był silniejszy od refleksji rozsądku. Nawymyślawszy sobie od idiotów i naciągnawszy kołdrę na głowę, przez trzy minuty udawał, że zasypia nie myśląc o niczym, a potem zaczynało się na nowo:

— Skąd ja ją znam?

— Zwariowałem — zaklął wreszcie z furją i zerwał się z łóżka na równe nogi.

Naprawdę przypuszczał, że ta głupia ciekawość, która go opętała z takim maniackim uporem, była chorobliwym objawem podrażnienia nerwów i aby się doprowadzić do równowagi, zaczął się oblewać zimną wodą. Następnie ubrał się szybko i wyszedł do cukierni na śniadanie. Widok ulicy podziałał na niego orzeźwiająco. Niedospanie kilku godzin przestało mu się wydawać katastrofą i od razu odzyskał humor.

Miał zresztą wszystkie powody ku temu, aby być nie tylko w dobrym, ale w doskonałym humorze. Udało mu się i to na bardzo korzystnych warunkach sprzedać majątek, który przed dwoma laty odziedziczył po stryju. Połoński był z zawodu inżynierem i o gospodarstwie nie miał najmniejszego pojęcia, przy tym w głębi duszy wsi nie lubił, ale ulegał łatwo autosugestiom i gdy się raz w jakim kierunku zapędził, bardzo trudno było mu się z obranej drogi cofnąć. Pod wpływem takiego zapędzenia właśnie przez dwa lata usiłował w sobie wmówić intuicyjny talent do gospodarstwa i zamiłowanie do wsi. Naprawdę te dwa lata upłynęły mu w ciągłej nudzie i obawie, że go wszyscy dookoła oszukiwali. Wieś

wyrobiła w nim drobiazgową podejrzliwość, której nigdy przedtem nie miał w charakterze. Nie tyle mu chodziło o rzeczywiste straty materialne, co o śmieszność. Nie znosił myśli, że go mogą uważać za głupca. Ale na szczęście dla siebie Połoński prócz zapędzeń posiadał i inną cechę w charakterze. Gdy mu się coś — jak sam powiadał — odkręcało w głowie, to od razu. Nie tracił czasu na namysły i wahania. Tak samo było z majątkiem. Uświadomiwszy sobie pewnego pięknego poranka, że nic na tej drodze nie zbuduje i tylko zdrowie straci na ciągłej szarpaninie nerwów, w ciągu kilku minut zdecydował się na sprzedaż.

Nabywcą był zbogacony dorobkiewicz powojenny, który pchał się do ziemiańskiej sfery. Połoński traktował go z ironiczną pobłażliwością, jak dziecko, któremu się zachciało zabawki i chętnie mu ją dawał za drogie pieniądze.

— Niechże i ci się przed reformą rolną pobawią w panów! — myślał.

Spotkał go przed cukiernią, w której pan Grzysiewicz (tak się ów jego następca nazywał) urzędował całymi godzinami, obrabiając najrozmaitsze interesy. Przywitali się bardzo przyjaźnie i Grzysiewicz, chociaż już był na wychodnym, postanowił się zatrzymać, żeby towarzyszyć Połońskiemu przy śniadaniu.

Połoński przyjął tę uprzejmość z miłą chęcią, ponieważ chciał pomówić z Grzysiewiczem o różnych interesach, które snuły mu się po głowie. Grzysiewicz

miał sławę człowieka, który doskonale się orientował w finansowych możliwościach, zresztą dał tego istotne dowody, robiąc w krótkim czasie olbrzymi majątek. Niestety Połońskiego spotkało rozczarowanie. Nowy dziedzic tak się już wrył w rolę dziedzica, że o interesach nie chciał wcale mówić. Za to szeroko się rozwodził o przedwojennym komforcie życia z widoczną intencją przekonania Połońskiego, że automobile, biżuterie, najwyższe gatunki win i nazwy pierwszorzędnych firm cygar hawańskich nie były dla niego rewelacjami ostatnich czasów. Rozmowa zesłała wreszcie na wyścigi. Grzysiewicz znów machnął lekceważąco ręką.

— Co tam teraz... Przed wojną były wielkie stajnie. Takich Lubomirskich, Łazariewa, Augiasza...

Tego sentymentalnego westchnienia Połoński nie dosłyszał na szczęście, bo już gorączkowo dzwonił na kelnera, żeby płacić. Przez okno cukierni mignęła mu na ulicy postać kobiety, która mu się wyśniła nad ranem. Szybko pożegnał zdumionego Grzysiewicza i wybiegł za nią. Szła szybko, tak że ledwo udało mu się wypatrzyć ją w tłumie i dogonić. Wymijając ją, przyjrzał się jej badawczo. I w tej chwili mógł być już przysięg, że tej kobiety nigdy w życiu nie widział, ale że to była ta sama, która mu się wyśniła. Zwolnił kroku, żeby ją przepuścić przed siebie i znów badawczo jej się przyjrzał. Teraz dopiero uświadomił sobie pewien dziwny szczegół. Senna zjawa różniła się od żywego jej ucieleśnienia tylko ubraniem. Tamta we śnie miała na sobie suknię staroświeckiego kroju z bufiastymi

rękawami, jakie on znał już tylko z ilustracji starych fotografii, a ta żywa na ulicy — modny granatowy kostium. Zatrzymał się przed wystawą sklepów i w chwili, gdy dostrzegł, że się zbliżała, odwrócił się gwałtownie, żeby jeszcze raz się przyjrzeć. Ta sama. Te same marzycielskie trochę oczy, wysokie, mocno rozwinięte czoło, krój ust, niewielkie znamię pod uchem na lewym policzku.

— Ale jeżeli ja jej nie znam i nigdy nie widziałem, to skąd u diabła mogła mi się tak wyraźnie przyśnić? — myślał Połoński, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

Młoda kobieta zdawała już sobie sprawę, że jest ścigana. Od razu przyśpieszyła kroku i jakby zeszywniała. I nagle skręciła w bramę starej, dwupiętrowej kamienicy. Połoński zawahał się chwilę, ale zaraz poszedł za nią. Przez tę chwilę jednak młoda kobieta tak go wyprzedziła, że gdy wchodził na schody, usłyszał już tylko w górze trzask zamykanych drzwi. Nie mógł się zorientować, czy to było na pierwszym, czy na drugim piętrze. Wszedłszy na górę zdołał tylko sprawdzić, że na pierwszym piętrze z jednej strony mieszkał dentysta, z drugiej krawiec. Na drugim piętrze nie było na drzwiach tabliczek, Połoński wrócił do bramy i przystanął, namyślając się, co dalej robić. Jedno tylko wiedział, że za wszelką cenę musiał tajemniczą pannę ze snu poznać.

Dozorca domu po wysłuchaniu informacji Połońskiego myślał długo z widocznym skupieniem, świadczącym, że był to człowiek sumienny i uczciwy, który otrzymawszy kilka złotych, chciał udzielić

możliwie dokładnej odpowiedzi, ale wreszcie potrząsała przecząco głową.

— Nie, żadna taka panna nie mieszka.

— A może bywa u kogo z lokatorów?

Dozorca znów się długo namyślał, ale rezultat tej pracy mózgu znów był ujemny.

— Może i bywa, ale to chyba tak przechodzi, że ja jej nigdy nie widziałem.

Wyraził wreszcie przypuszczenie, które już i Połońskiemu przychodziło na myśl, że pewno panny w granatowym kostiumie należało szukać u dentysty. Połoński wrócił więc znów na frontowe schody. Nie mógł nie czuć zmienności tych poszukiwań i przed drzwiami dentysty przyszła mu ironiczna myśl do głowy, że szczytem poświęcenia byłoby teraz kazać wyrwać sobie zdrowy ząb. Ale mimo to zadzwonił. Otworzyła mu drzwi młoda pokojówka i wyjaśniła, że opisywanej przez niego osoby w poczekalni nie było. Komplikowało to poszukiwania, ale sprawiło Połońskiemu przyjemność. Wolał nie wyobrażać sobie osoby, która w tak romantyczny sposób wplotła się w jego życie, na dentystycznym fotelu przy plombowaniu albo wstawianiu zębów. Sama możliwość jednak odczucia przyjemności z tego powodu dowodziła, że jego stosunek do nieznajomej już się układał jak do ideału, w którym się nie chce widzieć najmniejszych skaz.

Stwierdziwszy to Połoński, powtórzył sobie po raz drugi w ciągu dnia:

— Zwariowałem.

Ta diagnoza nie wpłynęła jednak wcale na jego postępowanie. Zamiast otrząsnąć się z wariackiego wybryku i odejść, stał w bramie, wyczekując na ukazanie się nieznajomej. Dozorca domu, zajęty jakąś pracą na podwórzu, przyglądał mu się coraz nieufniej i podejrzliwiej. Połowski spojrzał na zegarek. Od chwili gdy wszedł do kamienicy, minęła już prawie godzina.

— Z równym powodzeniem mogę tu tak sterczeć do wieczora — pomyślał.

I stał, jak zahipnotyzowany.

Zdecydował się już, że tego dnia nie wyjedzie z Warszawy. To wszystko były zresztą głupstwa. Inna ważniejsza sprawa zaprzętała mu myśl. Zbudziło się w nim niewyraźne wrażenie, że we śnie jego towarzyszka z bryczki powiedziała mu swe imię. Z całym wysiłkiem pamięci starał się je sobie przypomnieć.

Zamyślenie przerwał mu głos dozorca.

— A pan wciąż na tę panienkę czeka.

— Czekam — odparł krótko.

— Może by pan poszedł na górę i spytał się.

Połowski powziął nowy plan. Dał dozorca dziesięć złotych i polecił mu iść na górę i dowiedzieć się u krawca i w obu mieszkaniach na drugim piętrze, czy nie było tam Osoby, jaką opisywał.

— A jeżeli będzie, to powiedziec, żeby zeszła?

— Nie, nie. Ale gdyby pan się potrafił dowiedziec od służących, jak się nazywa i gdzie mieszka, to dostanie pan drugie dziesięc złotych.

Dozorca przez chwilę stał niezdecydowany. Sprawa wydawała mu się niejasną. Ale perspektywa zarobienia dwudziestu złotych szybko przewyciężyła skrupuły.

— Pójdę, może się dowiem.

Połoński stanął w bramie, tak że zasłonił sobą wyjście na ulicę. I nagle usłyszał z tyłu kobiecego głos:

— Przepraszam.

Szybko się odwrócił i ujrzał przed sobą ściganą postać.

Młoda kobieta poznała go również. Cofnęła się w tył i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem.

Połoński uchylił kapelusza.

— Najmocniej panią przepraszam.

— Może pan zechce mnie przepuścić — odparła zimno, jak gdyby nie słysząc wcale jego słów.

Połoński nie miał zamiaru jednak ustępować.

— Nie jestem donżuanem ulicznym, który zaczepia nieznajome kobiety. Zresztą, gdybym nawet uprawiał ten sport, to miałbym również doświadczenie, które by mi powiedziało, że w stosunku do pani wszelkiego rodzaju próby z góry należałoby uważać za bezcelowe. Ale tu doprawdy zachodzi wypadek niezwykły.

Poważny, a nawet uroczysty ton, jakim Połoński wypowiedział to wszystko, wywarł na młodej kobiecie widoczne wrażenie.

— Niezwykły wypadek... Nie rozumiem pana.

— Przede wszystkim pozwoli pani, że się przedstawię. Jestem Wacław Połoński, inżynier i obywatel ziemski.

Młoda kobieta nic na to nie odpowiedziała. Patrzyła wyczekująco. Połońskiego, który miał nadzieję, że i ona odruchowo mu się przedstawi, zmieszało to trochę.

— Następnie — ciągnął po chwili — mam wrażenie, że nie jesteśmy nieznajomi.

— Ja pana nie znam — odparła młoda kobieta.

— Nie przypomina pani mnie sobie?

— Absolutnie nie. Nigdy w życiu żadnego pana Połońskiego nie znałam. Za to mogę panu zaręczyć.

— A jednak ja jestem pewien, że musiałem panią spotykać.

— No to się pan myli — odparła już bardzo zimno.

Połoński mieszał się coraz bardziej. Czuł we wzroku młodej kobiety, że nie ma wyjaśnienia tego „niezwykłego wypadku”. I gorączkowo szukał jakiegoś pomysłu. Rozumiał dobrze, że mówić o śnie było niepodobieństwem. Za bardzo wyglądałoby to na ordynarny podstęp.

— Ostatecznie, o cóż panu chodzi?

Połoński odwołał się znów do swoich tytułów.

— Jestem inżynierem i obywatelem ziemskim. Mam dość rozległe stosunki. Przypuszczam, że na pewno znaleźlibyśmy wspólnych znajomych, którzy mogliby pani udzielić o mnie informacji. Więc jeśli ujrzałem panią na ulicy, a teraz od godziny wyczekiwałem w bramie, to jest chyba najlepszy dowód, jak bardzo pragnąłem panią poznać.

Młoda kobieta wzruszyła ramionami i wyszła z bramy. Połoński podążył za nią.

— Pani się na mnie rozgniewała.

— Może zechce mnie pan raz nareszcie uwolnić od swego towarzystwa.

— Ale...

— Słowo daję, że jeżeli pan w tej chwili nie odejdzie, zawołam policjanta.

Wypowiedziała to tak głośno, że groźbę jej usłyszało kilku przechodniów. Połoński uczuł, że staje się przedmiotem niechętnego zaciekawienia. Zatrzymał się zawstydzony. Na szczęście nawinął mu się w tej chwili znajomy posłaniec z hotelu, specjalista od rozmaitych dyskretnych poleceń. Połoński o mało go nie uściskał z radości.

— Widzicie tę pannę w granatowym kostiumie?

— Widzę.

— Trzeba iść za nią, dowiedzieć się, jak się nazywa i gdzie mieszka. Przyniesiecie mi wiadomości do hotelu.

— Będzie pan dziedzic miał na pewno.

— Jak się dobrze sprawicie, dwadzieścia pięć złotych. Idźcie, bo ją stracie z oczu.

Połoński wrócił do hotelu. Odwołał zapowiedź wyjazdu i udał się do sali restauracyjnej na śniadanie. Po chwili jednak, wyobraziwszy sobie, że lada moment może nadejść ktoś ze znajomych i przysiąc się do niego, zmienił dyspozycję i kazał sobie podać śniadanie do numeru. Czuł potrzebę pomyślenia spokojnie, na zimno wszystkich swoich przeżyć od rana. Mógł w przystępie irytacji czy pod wpływem ironii nazywać się wariatem, ale to nie znaczyło przecież, żeby naprawdę miał się uważać za wariata. Z drugiej strony jednak jego

postępowanie od rana nie było postępowaniem człowieka normalnego. To że spotkał na ulicy kobietę identycznie podobną do tej, jaka mu się wyśniła, nie usprawiedliwiało jeszcze ekstrawagancji, które o mało nie naraziły go na przykry skandal. Żeby znaleźć dla tego wszystkiego, jakie takie wytłumaczenie należałoby przypuścić, że się we śnie zakochał.

Ale czy można zakochać się we śnie?

— Zapewne, że można — tłumaczył. — Pod względem uczuciowym żyje się we śnie tak samo realnym życiem, jak i na jawie.

Tworzy się fikcyjna rzeczywistość, która jednak wywołuje w duszy prawdziwe uczucie. Gdyby ta rzeczywistość mogła trwać po przebudzeniu, trwałyby i uczucia. W danym razie zaszedł właśnie taki wypadek, ponieważ obraz senny ucieleśnił się w kobiecie, którą spotkał.

We śnie był w niej zakochany, to pamiętał. Zastanawiała go inna kwestia. Czy zakochałby się w niej również, gdyby tego snu nie miał i po prostu spotkał ją tylko na ulicy?

Trudno mu było znaleźć odpowiedź na to pytanie. Dwa obrazy, senny i realny, wciąż splatały mu się w wyobraźni w jedną całość. Towarzyszka sennej podróży na bryczce oczarowała go uśmiechem. Miał wciąż przed oczami wspomnienie tego uśmiechu i uczucia tkliwej, głębokiej, niewypowiedzianej radości, jakie się z nim skojarzyło. Na twarzy istoty realnej uśmiechu nie widział. To się łatwo jednak tłumaczyło warunkami, w jakich prowadzili rozmowę. Ale był pewien, że gdyby

się uśmiechnęła, to uśmiech jej byłby taki sam. I przysięgał sobie, że musi ją zobaczyć uśmiechniętą.

Do drzwi numeru zapukano.

— Proszę.

Posłaniec wszedł z triumfującą miną.

— Już wiem wszystko, proszę pana dziedzica.

Powiedział to z uśmieszkiem, z którego przebijało lekkie spoufalenie, jak gdyby się czuł współnikiem jakiejś zakazanej awanturki. Połoński osadził go jednym spojrzeniem.

— Co pan się dowiedział — odezwał się sucho, opryskliwie.

Posłaniec zmienił ton i udzielił Połańskiemu informacji. Panna nazywała się Zofia Siewska, była urzędniczką w prywatnym biurze handlowym na Złotej, mieszkała w odnajętym pokoju u ciotki na Natolińskiej. Dokładne adresy miał zanotowane na kartce, którą wręczył Połańskiemu. Połoński musiał przyznać mu w duchu, że się sprawił znakomicie. Ale ani słowem nie wyraził zadowolenia, nie mogąc darować posłańcowi konfidencji.

— Wydał pan co?

— Dwadzieścia złotych.

— Proszę... A to dla pana.

Posłaniec skłonił się, biorąc pieniądze, ale nie ruszał się z miejsca. Widocznym było, że chce jeszcze coś powiedzieć. Połoński wyczuł z jego wahania, że ta ostatnia nowina będzie już mniej przyjemna. I sam zawahał się na chwilę, czy wdawać się w dalszą rozmowę z posłańcem, czy też dowiadywanie się mniej

przyjemnych rzeczy pozostawić już sobie samemu. Ale zaraz zdecydował, że lepiej od razu wiedzieć wszystko.

— Co pan chce jeszcze powiedzieć?

— Ja się także dowiedziałem, skąd ta panienka szła, kiedy pan dziedzic pokazał mi ją na ulicy.

— No?

— Od rodziców narzeczonego.

— Skądże pan się podowiadywał tych wszystkich rzeczy?

— A od służącej, co u nich służy.

— A jak pan poznał służącą?

— Przez stróżkę.

— Sprytny z pana człowiek — roześmiał się Połoński, zapominając o swej urazie do posłańca. — To może pan się także dowiedział, kim jest ten narzeczony — dorzucił po chwilowym wahaniu.

— Dowiedziałem. W ministerstwie pracuje. Tylko służąca nie wiedziała w jakim. Ale teraz nie ma go w Warszawie. Podobno zagranicę wyjechał.

— Dobrze.

— Na trzy miesiące.

I tym słowom znów towarzyszył łajdacki uśmiezek, mówiący wyraźnie: „Ma pan dziedzic czas”. Połońskiego nieco ogarnęła głucha wściekłość na cynicznego wycirucha hotelowego, który spodziewał się zapewne za tę efektowną wiadomość specjalnego napiwku. Spotkało go rozczarowanie, Połoński ruchem głowy wskazał na drzwi.

Po wyjściu posłańca uśmiechnął się z zadowoleniem. Pierwszy cel był osiągnięty. Wiedział, jak się jego panna ze snu nazywa i gdzie mieszka. Dotrzeć teraz do niej wydawało mu się już głupstwem. Sięgnął po kartkę z adresami, którą mu pozostawił posłaniec. Panna Siewska pracowała w jednym z niezliczonych „połów”, którego właścicielami byli jacyś panowie Maliński i Knakowski.

— W ciągu dwudziestu czterech godzin muszę ich poznać — postanowił.

Podszedł do telefonu i zadzwonił do Grzysiewicza. Na szczęście zastał go w domu. Przeczucie go nie omyliło. Grzysiewicz znał firmę i obu wspólników.

— Bardzo mili i przyzwoici ludzie — informował Połońskiego, tylko absolutnie nie do prowadzenia interesów. Wzięli się, bo teraz taka moda, ale bokami robią i na gwałt na wszystkie strony poszukują pieniędzy. Niech się pan nie da nabrać.

Połoński się roześmiał.

— Nie ma obawy. W każdym razie chciałbym ich poznać.

— Mogę panu to ułatwić. Zaproszę ich jutro na śniadanie i spotkamy się. Ale wolno wiedzieć, dlaczego chce ich pan poznać?

— Może przystąpię z nimi do spółki.

— Pan? Po co? Jeśli pan chce interesy robić, to ja sam wskażę panu tysiąc lepszych.

Przez grzeczność Połoński musiał jeszcze z dziesięć minut wysłuchiwać Grzysiewicza, który nie przestawał mu tłumaczyć, jakim szaleństwem byłoby

przystępowanie do spółki z tak narwanymi ludźmi jak Maliński i Knakowski, ale ostatecznie obiecał mu obu tych panów przyprowadzić na śniadanie.

O zamiarze przystąpienia do spółki Połoński mówił żartem, żeby cokolwiek odpowiedzieć Grzysiewiczowi, ale potem przyszło mu na myśl, że może jednak i nad tym warto się było zastanowić. Miał zamiar po przeniesieniu się do Warszawy wziąć się do handlu. Według jego mniemania każdy interes był dobry, byle miał realny grunt i na czele człowieka z głową. Za takiego się uważał. Jeśli więc Maliński i Knakowski byli uczciwi i przyzwoici i tylko niepraktyczni, to wzięwszy ich mocno w kluby, można było interes oczyścić i postawić na pierwszorzędnej stopie. Oczywiście był to dopiero taki sobie luźny projekt. Należało poznać ludzi i zbadać dokładnie stan ich interesów.

— Ale zostałbym szefem panny Zofii —
uśmiechnął się.

I w tej chwili dopiero raczył sobie przypomnieć, że jednak ta panna Zofia miała narzeczonego. Ale ta myśl nie zaprzętała mu długo uwagi. Uśmiechnął się, przypominając sobie, jak ostrożnie oznajmiał mu to posłaniec. Przypuszczał pewno, że go okropnie zmartwi. Co prawda przez jedno mgnienie oka doznał przykrego niepokoju. Obawiał się usłyszeć coś strasznego. Teraz uważał, że w tym momencie był strasznie złym psychologiem. Po prostu — aż do głupoty. Wystarczało przecież raz na nią spojrzeć, żeby

wiedzieć, że jedyną straszną możliwością w jej życiu było właśnie — narzeczeństwo.

Ale dla niego nie było to straszne.

— Z narzeczonym dam sobie radę — myślał tak spokojnie, jakby chodziło o załatwienie jakiejś drobnej, błahej formalności.

Uważał, że na myślenie o narzeczonym nie warto tracić czasu. Daleko ważniejszą była sprawa, jak dotrzeć do ciotki. Nazywała się Otocka. Miał w gimnazjum kolegę Otockiego i nawet za poprzedniego pobytu w Warszawie spotkał go na ulicy. Zajrzał do książki telefonicznej. Niestety, Kazimierza Otockiego nie znalazł. Na los szczęścia postanowił przejść się po mieście i zajrzeć do kilku kawiarni. O Otockim słyszał, że pracuje naukowo, a ponieważ miał wygląd bardzo zaniedbany, więc w Połockim zrodziło to wrażenie, że najłatwiej go będzie spotkać w kawiarni.

Połocki lata wojny spędził w Rosji, po powrocie przed osiedleniem się na wsi mieszkał w Poznaniu i Warszawa stała się dla niego obcym miastem. Obchodząc kawiarnie, przekonywał się, że jego wrażenie, jakoby tam właśnie należało szukać intelektualistów, było już anachronizmem. Albo zmienili obyczaje, albo tak się przystosowali do nowego typu kawiarnianej publiczności, że niczym ich nie można było wyróżnić. I to spostrzeżenie było jedynym rezultatem jego dwugodzinnej prawie wędrówki po kawiarniach.

Otockiego nie spotkał. Podrażniło go to, bo ulegając tajemniczemu kapryswi mózgu, zrobił sobie z

tego spotkania dawnego kolegi wróżbę. W razie spotkania wszystko miało pójść dobrze. Połowski w żadne przesady nie wierzył, ale tego rodzaju „kabałki” narzucały mu się czasami z siłą przewyciężającą rozsądek. Jeśli „kabałki” się sprawdzały, nie przypisywał im najmniejszego znaczenia, ale gdy go zawodziły, powstawał mu w głębi duszy nieokreślony niepokój przed przeczuciem. Było to wrażenie bardzo drobne, ledwo wyczuwalne, ale w każdym razie denerwujące. A teraz występowało z większą może niż zazwyczaj siłą, bo fakt zakochania się we śnie — a ten fakt istniał przecież — burzył w jego umyśle wszystkie ustalone pojęcia o logice, twórczości i zdrowym rozsądku.

I dlatego gdy się wieczorem położył do łóżka, nie mógł się pozbyć pewnej obawy przed zaśnięciem.

— A nuż przyśni mi się, że zażyrowałem za kogoś weksel i za miesiąc będę musiał płacić w banku? — rozumował.

Ale tej nocy nic mu się nie śniło. Obudził się rzeźwy i wypoczęty i zdawało mu się, gdy się ubierał, że cały poprzedni dzień przeżył po prostu w gorączkowej halucynacji, a teraz z wypoczętymi nerwami wraca do normalnego życia. Doszedł też do wniosku, że korzystając z tego, że ma jeszcze przed sobą cały dzień pobytu w Warszawie, rozumniej zrobi, gdy pójdzie do lekarza i poprosi o zbadanie nerwów, niż gdyby miał znów tracić czas na szukanie panny ze snu.

Już oceniał swoją przygodę trzeźwo i jasno. Pod wpływem przemęczenia nerwowego uroiło mu się

podobieństwo między wizją senną a kobietą, którą spotkał na ulicy. Jeśli w tym wszystkim było co nienormalnego i niepokojącego, to właśnie to przemęczenie, które sprawiło, że przez cały dzień nie mógł otrzeźwieć ze snu. Kilka niedospanych nocy nie powinno było wywoływać takiego efektu. Dlatego koniecznie należało zasięgnąć porady lekarskiej.

Ponieważ jeden z jego kolegów gimnazjalnych został lekarzem i zyskał rozgłos jako specjalista od chorób nerwowych, więc od razu zatelefonował do niego i zamówił wizytę na popołudnie.

Ten stan wyzwolenia duchowego trwał jednak niedługo. Oprócz panny ze snu urojonej weszła już w życie Połońskiego i realna istota, którą spotkał i ścigał na ulicy. I ta istniała już niezależnie od snu. Obraz jej towarzyszył wszystkim jego logicznym i spokojnym rozumowaniom. I uplastyczniał się coraz wyraźniej. W ślad za tym ogarniał go gorączkowy niepokój. Niecierpliwie wyczekiwał wiadomości od Grzysiewicza.

I gdy Grzysiewicz zatelefonował mu, że się umówił z Malińskim i Knakowskim na śniadanie na wpół do drugiej, ogarnęła go dziecinna radość.

Punktualnie o wpół do drugiej był w restauracji. Również punktualny był Grzysiewicz i spotkali się u wejścia. Korzystając z tego, że zaproszeni goście jeszcze nie nadeszli, Grzysiewicz, znów zaczął przekładać Połońskiemu, żeby się nie wdawał w niepewne interesy.

— Co pan sobie do nich upatrzył?

— Polecano mi ich jako bardzo przyzwoitych ludzi.

— Kto?

— Znajomi — odparł wymijająco Połoński.

Ale Grzysiewicz nie należał do ludzi dyskretnych i nie posiadał najmniejszego wyczucia subtelnych intonacji głosu.

— Panowie mają wspólnych znajomych? Kogo?

Połońskiego ogarnęła irytacja.

— Mamy, co panu na tym zależy — odparł niecierpliwie.

I tu wyszła na jaw pewna dobra strona obcowania z ludźmi gruboskórnymi. To co kogo innego mogłoby urazić, a przynajmniej wywołać pewne oziębienie towarzyskiego nastroju, na Grzysiewiczzu nie wywarło najmniejszego wrażenia. Zresztą zaraz wpadł na ulubiony temat porównywania współczesnego komfortu z przedwojennym.

W chwilę potem zjawił się Maliński i rozmowę zaczął od oświadczenia, że jeszcze nie było wypadku, aby jego wspólnik nie spóźnił się na umówioną godzinę. Połoński przyglądał mu się z zaciekawieniem. Maliński był drobny, szczupły, niesłychanie nerwowy. W ciągu pięciu minut opowiedział Połońskiemu cały swój życiorys dość barwny, bo jak się okazało, przed wojną studiował medycynę i matematykę, które porzucił dla czystej filozofii, następnie był nauczycielem szkół średnich, kurierem dyplomatycznym, a do handlu wziął się od niedawnego czasu.

W ciągu tego powiadania zjawił się i Knakowski, typowy, kresowy szlachcic, olbrzymiego wzrostu o

pocziwej i sympatycznej twarzy. Z Grzysiewiczem przywitał się protekcyjnie, na Połońskiego spojrział nieufnie i zrobił awanturę kelnerowi o to, że mu nie dość szybko podał kartę.

Opatrznościowym mężem śniadania stał się Maliński, który mówił bez przerwy, dzięki czemu inni mieli także okazję do wtrącania swoich uwag, co stwarzało pozór ogólnej rozmowy. Połoński czuł wciąż jednak, że wszyscy trzej jego towarzysze uważają to tylko za wstęp do prawdziwej, poważnej rozmowy, która wyjaśniłaby im nareszcie tajemnice tego śniadania. Ale wstęp zbyt długo się przedłużał. Połoński miał nadzieję, że wino wytworzy nastrój, który odciągnie uwagę wszystkich od głębszego celu spotkania. Udało się to najzupełniej z Malińskim, ale zawiodło w stosunku do Knakowskiego. Kresowiec cierpiał na artretyzm i nic nie pił. Może dlatego widok ludzi, którzy już byli trochę podnieceni, wprawiał go w coraz gorszy humor. Wreszcie zwrócił się do Połońskiego z akcentem widocznego zniecierpliwienia.

— Więc jaki pan miał do nas interes?

Szcześliwy zbieg okoliczności sprawił, że Grzysiewicza odwołano do telefonu. Połoński mógł mu przypisać inicjatywę spotkania.

— Wspominałem panu Grzysiewiczowi, który nabył ode mnie majątek, że przystąpiłbym w Warszawie do jakiegoś przedsiębiorstwa. I on mi tak gorąco polecał panów.

Na twarzy Knakowskiego odmalowało się niesłychane zdumienie.

— Grzysiewicz!

Maliński, który już nie panował nad odruchami, przeżegnał się lewą ręką. Ale zdumienie Knakowskiego było krótkie. Twarz mu się rozjaśniła i uśmiechnął się z zadowoleniem.

— A co? — wykrzyknął do Malińskiego. — Wyrobiliśmy sobie opinię w świecie, skoro już nawet taki Grzysiewicz nas rekomenduje. A pan wciąż krakał, że ja nie jestem współnikiem do interesu. Pomysły trzeba mieć w głowie, to grunt, a nie jakieś tam pedantyzmy.

I nagle ożywiony zwrócił się do Połońskiego.

— Opowiem panu, jak ja z bolszewikami dawałem sobie radę.

Ale przerwał mu Maliński.

— Pan już na stałe osiadł w Warszawie?

— Nie, wracam jeszcze na wieś. Na stałe przyjadę za kilka tygodni dopiero. Szukam mieszkania.

Maliński spojrzał pytająco na swego współnika.

— Może by to na Natolińskiej?

Knakowski wzruszył ramionami.

— Ii... — mruknął lekceważąco.

Ale Połońskiego zaciekała ulica.

— Pan wie o jakim mieszkaniu na Natolińskiej?

— Mamy w biurze urzędniczkę, której ciotka chce sprzedać mieszkanie. Ale może dla pana za duże. Sześć pokoi.

Połońskiego aż podrzuciło na krześle. Taka cudowna okazja! Własnym uszom nie chciał wierzyć. Mimo woli chwycił Malińskiego za rękę.

— Jak się ta pani nazywa?

— Otocka.

— Ale niech pan sobie tym głowy nie zawraca — przerwał Knakowski. — Szkoda czasu i pieniędzy na dorożkę. To jest zwariowana baba, która dostała manii na punkcie sprzedaży mieszkania, ale nigdy go nie sprzeda.

— Sprzeda — powtórzył dobitnie Maliński. — Wczoraj jeszcze panna Siewska zwracała się w tej sprawie do mnie.

Połońskiemu było w tej chwili najzupełniej obojętne, czy pani Otocka ulegała pewnej manii, czy też miała zamiar naprawdę sprzedać mieszkanie. Wiedział, że pozna ją za pół godziny i to mu wystarczało.

— Można się na pana powołać? — zwrócił się do Malińskiego.

— Ależ owszem.

Nadszedł Grzysiewicz. Połoński spojrział na zegarek i zerwał się pośpiesznie od stołu z miną człowieka, który nagle spostrzega, iż się zapóźnił.

— Najmocniej panów przepraszam. Tak przyjemnie rozmawialiśmy, że zatraciłem zupełnie poczucie czasu. A w hotelu czekają na mnie.

— Ja także idę w tamtą stronę — odezwał się Knakowski. — Odprowadzę pana.

Gdy znaleźli się sami, kresowiec ujął Połońskiego po przyjacielsku pod rękę.

— Skoro mamy być współnikami, to muszę pana uprzedzić. Niech pan nigdy nie polega na informacjach

Malińskiego. Stan naszych interesów ja panu będę przedstawiał.

Ale Połowski inaczej się zapatrywał na informację Malińskiego, bo w dziesięć minut potem jechał na Natolińską.

Mężczyźni zakochani, przynajmniej w pierwszym okresie miłości, darzą nadmiarem swych tkliwych uczuć i osoby, bliskie ich ideałom. Z tego powodu pani Otocka wywarła na Połowskim bardzo ujmujące wrażenie. Być może, że gdyby ją był ujrzał po raz pierwszy w bardziej obojętnych dla siebie warunkach, to wrażenie to wypadłoby znacznie gorzej i zamknęło się w charakterystyce: „A to jędza”, ale Połowski widział przed sobą przede wszystkim ciotkę panny Siewskiej.

Była to osoba mniej więcej sześćdziesięcioletnia, ze starannie umalowanymi i gładko zaczesanymi włosami, które zarastały jej czoło półkolem. Usta miała wąskie i zaciśnięte i na pierwszy rzut oka się wyczuwało, że zasadniczą cechą jej charakteru musiał być tępy, bezbrzeżny upór. Gdy w Połowskim uspokoiło się pierwsze entuzjastyczne wrażenie, od razu mu to przyszło na myśl. Następnie zrobił drugie spostrzeżenie, że pani Otocka musiała też być drobiazgowo skąpa, bo mimo że w salonie panował już zupełny półmrok, nie zapalała lamp.

Połowski czekał na nią kilka minut i miał czas przestudiować urządzenie salonu. Uderzył go nadmiar najrozmaitszych cacek i bibelotów, porozstawianych wszędzie, gdzie tylko dało się co wetknąć. Miękkie

meble były poosłaniane pokrowcami, ale pęknięty niedyskretnie na jednym z foteli pokrowiec zdradzał, że miało to na celu ukrycie dziur na obiciach. Na ścianach wisiało kilka martwych natur, pooprawianych w wąskie, złoczone ramki i malowanych oczywiście przez jakiś talent z rodziny.

Pani Otocka, kiedy Połowski przedstawił jej się i powołał na Malińskiego, zaczęła mu się przyglądać tak badawczo, że aż go to zirykowało. Ale ciotce panny Siewskiej przysługiwały wyjątkowe prawa. Połowski cierpliwie poddawał się badaniu i sam w dalszym ciągu badał salon. Od pierwszej chwili nasunęło mu się na myśl, że całe to zapuszczenie było rezultatem raczej skąpstwa niż niedostatku. Może wzbudziło w nim to wrażenie kilka bardzo kosztownych pierścionków, jakie pani Otocka miała na palcach. Zaniepokoiły go bibeloty i cacka. Obawiał się, czy to nie jest wyraz estetycznych upodobań panny Siewskiej.

I w mniejszym stopniu doznał uczucia takiej samej skruchy jak po przelotnej trwodze, jaką w nim wzbudził poprzedniego dnia posłaniec. Wystarczyło raz spojrzeć na pannę Siewską, aby wiedzieć, że jej taka tandeta nie mogła się podobać.

— Pan szuka mieszkania? — odezwała się wreszcie pani Otocka.

— Tak.

— Ale pan stale w Warszawie mieszka?

— Nie. Od powrotu z Rosji, po wojnie, mieszkałem na wsi. Teraz mam zamiar przenieść się do Warszawy.

— Czy wolno wiedzieć czym się pan na wsi trudnił? — dopytywała się pani Otocka.

— Miałem majątek.

— W jakich stronach?

— W Radomskim.

— W Radomskim — powtórzyła pani Otocka takim tonem, jakim się mówi: „Ach, doskonale znam”, i po wąskich jej ustach przewinał się po raz pierwszy uśmiech.

— Pani zna tamte strony? — podchwycił Połowski.

— Bywałam przed laty. Nawet znałam obywatela, który się tak samo nazywał jak pan.

— W takim razie znała pani mojego stryja, bo był tylko jeden Połowski. Eustachy.

— To był stryj pański?

— Tak.

Pani Otocka zmrużyła szybko oczy z takim wyrazem, jak gdyby ta wiadomość sprawiła jej przykrość, ale w tej chwili odzyskała panowanie nad sobą i ciągnęła najspokojniejszym tonem.

— A komuż stryj pański zostawił majątek?

— Mnie.

— No, to ma pan ten majątek?

— Sprzedałem.

— Sprzedał pan?

— Nie znam się na gospodarstwie i zresztą w ogóle nie jestem stworzony do życia na wsi.

W salonie zrobiło się już zupełnie ciemno, pani Otocka jednak nie zapalała światła. Po odpowiedzi Połowskiego rozmowa urwała się na chwilę.

Połońskiego intrygowała myśl, z jakim przykrym wspomnieniem pani Otockiej mogła się łączyć osoba jego stryja i ponieważ wszystko podporządkowywał jednemu celowi zbliżenia się do panny Siewskiej, więc nie wiedział, czy te echa przeszłości były dobre czy złe. O życiu swojego stryja wiedział bardzo mało. Ojciec jego nie utrzymywał z bratem stosunków. W domu Połońskich stryj Eustachy miał jak najfatalniejszą opinię skąpca i egoisty, który pchał się do arystokracji i cenił tylko tytuły i pieniądze. Od ojca Połońskiego był o kilkanaście lat starszy. Dopiero na kilka lat przed śmiercią zbudziło się w nim niespodziewanie przywiązanie do synowca. Odszukał go i sprowadził do siebie na wieś. Przed wojną, gdy tradycje oraz rodzinnych tkwiły w duszy Połońskiego żywiej, byłby on może nawet to zbliżenie odtrącił, ale przeżycia w Rosji i pewnego rodzaju wykoślenie po powrocie do kraju stepiły w nim wrażliwość na wiele rzeczy, które przedtem uważał za obowiązujące. Osiadł więc u stryja. Nigdy jednak o przeszłości nie rozmawiali, bo stary Połoński, który w owym okresie był już na wpółobłąkanym, z jakąś dziwną pasją nienawidził wszelkich wspomnień.

Milczenie przerwała pierwsza pani Otocka.

— Pańscy rodzice mieli majątek niedaleko od Warszawy.

— Nie majątek, tylko folwarczek — poprawił się Połoński. — Pod Mińskiem.

— Pan znał doktorową Rucińską w Mińsku?

— Ma się rozumieć — wykrzyknął Połoński.

— Ja także bywałam u niej. I raz czy dwa widziałam pańską matkę,

W tym momencie Połowski usłyszał, że ktoś otwiera drzwi z sąsiedniego pokoju do salonu. Szybko odwrócił głowę. Padła smuga światła i w blasku jej ujrzał pannę Siewską. Szepnęła:

— O, przepraszam — i cofnęła się, zamykając drzwi za sobą.

— Moja siostrzenica — poinformowała go pani Otocka. I zwracając się ku drzwiom zawołała:

— Chodź Zosiu, tutaj.

Drzwi otworzyły się ponownie i panna Siewska weszła do salonu. Połowski zerwał się z krzesła.

— Zapal światło, Zosiu — odezwała się pani Otocka.

I jakby uprzytomniwszy sobie w tej chwili dopiero, że do tej pory siedzieli po ciemku, zaczęła pośpiesznie usprawiedliwiać się przed Połowskim.

— Najmocniej pana przepraszam... Mnie oczy bołą i najchętniej przesiaduję po ciemku. Zosiu, znów nie zagasiłaś za sobą światła w stołowym — przerwała nagle tonem wyrzutu, który świadczył, że nad troską o zdrowie oczu górowała jednak myśl o oszczędzaniu elektryczności.

— Przedstawię panu moją siostrzenicę — zwróciła się do Połowskiego — Panna Zofia Siewska, pan Połowski.

Panna Siewska tak była oszołomiona zobaczeniem Połowskiego we własnym domu, że w oczach jej malowało się prawie przerażenie. Połowski skłonił się

ceremonialnie. Wyczuł, że panna Siewska waha się, czy ma mu podać rękę. Wahanie to trwało sekundę, ale nie uszło uwagi pani Otockiej, która zmierzyła swoją siostrzenicę zdumionym spojrzeniem. Wówczas panna Siewska wyciągnęła wreszcie rękę i dotknąwszy końcami palców dłoni Połońskiego, cofnęła ją gwałtownie.

— Pan Połoński przyszedł w sprawie mieszkania — odezwała się pani Otocka.

Panna Siewska wzruszyła nieznacznie ramionami, jak gdyby chcąc wyrazić zdumienie, że każe jej się słuchać tak nic ją nieobchodzącej wiadomości.

— Okazało się — ciągnęła pani Otocka — że znałam matkę pana Połońskiego i stryja.

Panna Siewska i tę wiadomość przyjęła wzruszeniem ramion.

Połońskiego wcale to nie stropiło. Przeciwnie, impertynencje panny Siewskiej wprawiły go w pobłażliwie dobry humor.

— Można się dąsać, ale to się skończy — myślał z taką pewnością siebie, jak gdyby jej wola nie miała odgrywać najmniejszej roli w dalszym rozwoju ich stosunku. I z najzupełniejszą — jak mu się zdawało przynajmniej — obojętnością analizował jej urodę. Dopiero teraz, kiedy była bez kapelusza, mógł chwytać wszystkie najsubtelniejsze odcienie podobieństwa z obrazem widzianym we śnie. Te wszelkie przypuszczenia, co do możliwości przypadkowego podobieństwa, musiały się w nim rozproszyć. Była to identycznie ta sama istota. Wysoka, bardzo zgrabna, z

mocnymi rękami o długich palcach. Rodzaj urody twarzy trudno było od razu określić. Pierwsze wrażenie nasuwało się ujemne, że w stosunku do całości głowy miała zbyt wysokie i za mocno rozwinięte czoło. Inne szczegóły, jak oczy, nos, usta, zasługiwały za ledwie na nazwę dość ładnych. Ale cała postać promieniowała niewypowiedzianym wdziękiem i w tym nieuchwytnym dla umysłów wrażeniu tkwiła tajemnica jej urody.

— Ona wtedy jest dopiero sobą, kiedy się uśmiecha — myślał Połoński.

Prawdziwą pannę Siewską widział we śnie; ta która stała przed nim, była jakby zamarła przede wszystkim z podświadomego podziwu, że spotykała ją przykrość.

Panna Siewska zwróciła się nagle do ciotki takim tonem, jakby Połońskiego nie było w pokoju.

— A skąd pan Połoński się dowiedział, że ciocia chce sprzedać mieszkanie?

— Od pana Malińskiego — odparł Połoński.

— Pan go zna?

Pytanie wyrwało się pannie Siewskiej odruchowo. Nic nie pomogło, że zmierzyła od razu Połońskiego pogardliwym spojrzeniem, które mówiło wyraźnie: „Nie życzę sobie odpowiedzi”. Połoński odparł z uśmiechem:

— Poznałem go kilka godzin temu.

Panna Siewska doskonale zrozumiała to, co nie było wypowiedziane słowami, że Połoński postarał się o zawarcie znajomości z Malińskim, żeby ją poznać.

— Moja siostrzenica pracuje w biurze u pana Malińskiego — odezwała się pani Otocka.

— W takim razie możliwe jest, że będziemy pracowali razem — odparł Połoński.

— Jak to?

— Ja mam zamiar przystąpić z tymi panami do spółki.

Pani Otocka aż ręce podniosła do góry.

— A niechże pana Bóg broni. Oni lada dzień zbankrutują. Zosi winni są pensję za półtora miesiąca. Ja nawet chciałam pana zapytać, czy pan nie wie o jakiej posadzie...

— Ciociu! — wykrzyknęła panna Siewska, mierząc panią Otocką piorunującym spojrzeniem.

Ten wybuch był dla pani Otockiej czymś tak niezrozumiałym, że po prostu osłupiała.

— Ja sobie posadę sama znajdę. Nie potrzebuję protekcji nieznajomych ludzi.

Było to powiedziane wyzywająco, impertynencko. Pani Otocka zacisnęła wąziutkie usta, twarz jej się zrobiła spiczasta, oczy przybrały jadowity wyraz. Ale ta cała gra fizjognomii zakończyła się nagle i niespodziewanie uśmiechem, i pani Otocka zwróciła się do siostrzenicy słodziutkim tonem:

— Ja nie widzę nic ubliżającego w tym, że ktoś szukając posady, zwraca się do życzliwych ludzi o poparcie. Wszystko coraz drożej kosztuje, a pieniądze same się nie rodzą. Ja pana Połońskiego nie mogę uważać za zupełnie nieznajomego, bo znałam jego matkę i stryja. Zresztą może zrobimy interes. To czasami bardziej zbliża niż węzły krwi.

Połoński z niepokojem śledził wzrokiem pannę Siewską. Widział, że miała nerwy napięte do najwyższego stopnia. I obawiał się, że się rozplacze i ucieknie z salonu. Ale w niej zaszła nagle nieoczekiwana zmiana. Usiadła w fotelu, założyła nogę na nogę i uśmiechnęła się ironicznie.

— Ja już nową posadę mam.

— Nic mi nie mówiłaś — wykrzyknęła pani Otocka. — Jaką?

— Później cioci powiem. W każdym razie z moim biurem postanowiłam już skończyć. Jutro napiszę list i już nawet nie pójde.

— To ci nie zapłacą.

— Dam sobie radę.

I z ironicznym uśmiechem spojrzała na Połońskiego. Odgadł sens tego uśmiechu, tak samo, jak przed chwilą panna Siewska odgadła sens jego słów: „A co, nie na wiele ci się przydało, żeś poznał Malińskiego”. Spojrzał na nią bacznie, ciekaw, czy to była prawda, czy tylko pogrożka. I odniósł wrażenie, że gdyby to nawet w tej chwili była tylko nerwowa pogrożka, to przez ambicję panna Siewska stanowczo jej dotrzyma.

— Ale ja muszę uprzedzić pana — odezwała się pani Otocka — że mieszkanie sprzedaję bez mebli.

Połoński ledwo się powstrzymał od uśmiechu. Trudno mu było sobie wyobrazić, żeby się znalazł amator na te stare i zrujnowane graty.

Na pannie Siewskiej zastrzeżenie ciotki wywarło takie samo wrażenie, jak na Połońskim. Ale ona mniej

się krępowała i uśmiechnęła z lekka. Połoński odpowiedział jej uśmiechem. I choć twarz jej przybrała od razu surowy wyraz w oczach, nie mogła już zgasić śmiechu.

— Ja szukam mieszkania bez mebli — odparł Połoński.

— Nim będziemy mówili o cenie, musi pan mieszkanie obejrzeć — ciągnęła pani Otocka, wstając.

Połoński wstał również, ale pani Otocka wstrzymała go ruchem ręki.

— Chwileczkę. Zaraz pana poprowadzę. Przepraszam.

I wyszła z salonu, widocznie dla szybkiej inspekcji, czy wszystko nadawało się do oglądania.

Połoński zwrócił się do panny Siewskiej.

— Pani się gniewa na mnie?

Panna Siewska spojrzała na niego drwiąco. Trochę niespodziewanie dla siebie samej postanowiła zmienić taktykę i po prostu go wykpić.

— Nie. Uważam tylko, że pan zbyt wiele energii traci na niepotrzebne rzeczy.

— Dlaczego?

— No, bo przecież na to, żeby mnie odnaleźć w ciągu dwudziestu czterech godzin i w dodatku w moim własnym mieszkaniu, musiał pan zużyć pewną sumę energii.

— Bardzo niewielką.

— Mniejsza o to. W każdym razie nie wiem, czy warto było tracić choćby najmniejszą sumę energii dla

takiego rezultatu jak rozmowa z moją ciotką o sprzedaży mieszkania.

— Rozmawiam z panią.

— Nasza porywająca rozmowa nie będzie długa. Jak ciocia wróci zostawię państwa samych. Czy pan naprawdę chce kupić mieszkanie?

— Naprawdę.

— Myślałam, że to był podstęp z pańskiej strony. W takim razie muszę pana od razu rozczarować. Nie kupi pan tego mieszkania.

— Dlaczego?

— Bo moja ciotka nie sprzeda go panu. To jest u niej pewnego rodzaju mania. Nie może strawić myśli, że to mieszkanie przedstawia sumę kilkudziesięciu tysięcy złotych. Ale jak pan wyjdzie, zacznie się rozpaczanie, że nie ma drugiego mieszkania.

Połoński się uśmiechnął, a panna Siewska umilkła zawstydzona, zdając sobie nagle sprawę, że się mimo woli zapędziła w niepotrzebne zwierzenia. Wstała z fotela.

— Moja ciotka się tam zasiaduje, a pan niepotrzebnie czeka. Zaraz ją zawołam.

— Nie! — wykrzyknął Połoński, zastępując jej drogę.

Panna Siewska parsknęła śmiechem.

— Pan naprawdę ma chyba źle w głowie. Ale skoro tak panu na moim towarzystwie zależy, mogę zostać. Pragnął mnie pan poznać, poznał mnie pan. Cóż pan ma mi takiego ważnego do powiedzenia.

— Coś pani opowiem. Będzie to brzmiało nieprawdopodobnie i może jeszcze bardziej utwierdzi panią w mniemaniu, że mam źle w głowie. Ale proszę mi wierzyć, przysięgam, że będę mówił najszczerzą prawdę.

Panna Siewska spoważniała.

— Słucham pana.

Połoński zaczął jej opowiadać swój sen. Wbrew temu, czego się obawiał właśnie, panna Siewska wcale się nie odniosła do jego opowiadania ani drwiąco, ani sceptycznie. Słuchała go poważnie i z widoczną nawet sympatią. Kiedy skończył uśmiechnęła się z lekka. Widząc ten uśmiech, taki sam jak we śnie na bryczce, Połoński uradował się i rozrzewnił w duszy.

— Wierzy mi pani?

— Dlaczegożbym panu nie miała wierzyć? — odparła już zupełnie innym tonem („swoim tonem” — odczuł Połoński). I cała jej uraza do niego w jednej chwili minęła bez śladu. Uraza ta zresztą wynikała z pewnej chwilowej autosugestii i może by była minęła wcześniej, gdyby nie niepotrzebne wścibstwo ciotki z tym odezwaniem się o posadzie. To ją podrażniło. Ale myśląc szczerze, panna Siewska musiała się przyznać przed sobą, że w pierwszym wrażeniu, jakiego doznała na widok Połońskiego, oburzenie mieszało się z pewną dozą zadowolenia miłości własnej. Podobało jej się to, że jednak postawił na swoim i w tak szybkim czasie ją odszukał.

— Wie pan, że z tym snem to jednak dziwna historia — odezwała się po chwilowym zamyśleniu. —

Na pewno musiał mnie pan gdzieś spotykać, w teatrze albo na ulicy, i tylko nie zwracał pan na mnie uwagi.

— To niemożliwe — wykrzyknął Połoński z takim zapalem, że panna Siewska znowu się roześmiała.

— Więc jakim cudem mogłam się panu tak dokładnie przyśnić?

— Nie wiem. Na pewno pani nie spotykałem. W ostatnich latach ja zresztą rzadko bywałem w Warszawie.

— A ja mieszkam od czterech miesięcy.

— Ja ostatni raz byłem w Warszawie mniej więcej cztery miesiące temu.

Zaczęli przypominać sobie daty i okazało się, że Połoński wrócił na wieś na tydzień przed przyjazdem panny Siewskiej. Szukając możliwości spotkania, opowiedzieli sobie pośpiesznie swoje życiorysy od wybuchu wojny i okazało się, że nigdy nie byli razem w jednej i tej samej miejscowości. Więc możliwość spotkania trzeba było odsunąć na lata przedwojenne. Połoński się roześmiał.

— W takim razie przyśniłaby mi się pani jako mała dziewczynka.

— O nie — zaprzeczyła panna Siewska — jestem na pewno starsza niż się panu zdaje.

Pani Otocka nie wracała, ale nie mieli jej tego za złe. Rozmawiali z coraz większym ożywieniem i już jak starzy dobrzy znajomi.

Panna Siewska sama zauważyła nawet, że skoro się znali w snach, to znajomość ich mogła trwać od tysiąca lat. Musiał jej dokładnie opowiedzieć, w jaki sposób ją

odnalazł. Skrzywiła się na śledzenie ją przez posłańca, ale całego opowiadania słuchała z widoczną przyjemnością. Ze swej strony opowiedziała mu o Malińskim i Knakowskim, których charakteryzowała jako ludzi uczciwych i przyzwoitych, tylko bezwzględnie niepraktycznych i niemających najmniejszego pojęcia o prowadzeniu interesów. Rzeczywiście nie płacili jej od półtora miesiąca, ale nie miała serca ich porzucić, bo widziała, z jakimi kłopotami walczyli.

— A mówiła pani, że pani już jutro do biura nie pójdzie? — odezwał się Połoński.

— Żeby przerazić ciocię.

— A przeraziła pani mnie.

— Proszę nie przesadzać. Przecież pan chyba nie miał na serio zamiaru przystąpienia do spółki z Malińskim i Knakowskim?

— Jutro byłbym ich współnikiem.

— Żeby zostać moim szefem.

— Żeby się do pani zbliżyć.

Panna Siewska wzruszyła ramionami i gest ten najwyraźniej się tłumaczył „Jak można być takim wariatem”, ale oczy jej rozbłysnęły zadowoleniem.

— Najgorzej na tym wyjdą moi biedni dyrektorzy.

— Dlaczego?

— Bo skoro pan mnie poznał, to już panu niepotrzebna ta spółka.

— A jednak bardzo być może, że przystąpię.

— Doprawdy?

W głosie panny Siewskiej czuć było uciechę. Połowski spojrzał na nią bystro.

— Zależy pani na tym?

— Bardzo bym się cieszyła, gdyby ich ktoś podratował. Żal mi ich, zwłaszcza Knakowskiego. Przez całe życie gospodarował na wsi i teraz jest bezsilny jak dziecko.

— A pani wierzy, że ja bym ich podratował?

— O, na pewno.

Zapał, z jakim to powiedziała, rozśmieszył Połowskiego.

— Przez to, że panią tak szybko znalazł, wyrobiłem sobie u pani opinię energicznego człowieka.

— W danym razie niepotrzebnie pan jednak tracił energię na szukanie aż tak ogólnych dróg. Przecież z chwilą, jak pan się dowiedział od posłańca nazwiska mojej ciotki, mógł pan wprost przyjść do niej.

— Ja ciotki pani nie znałem.

— Osobiście, ale przecież...

Panna Siewska umilkła, nie kończąc zdania.

Połowski spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Nie rozumiem pani.

Panna Siewska odpowiedziała mu dopiero po chwili, trochę przyciszonym głosem.

— Moja ciotka jest drugi raz za mężem. Z pierwszego małżeństwa nazywała się Rolewska.

— Aa!

Tę historię z życia stryja Połowski, ma się rozumieć, znał dobrze. Były to już stare dzieje. Jako młody człowiek stryj jego nawiązał romans z kuzynką jednego

z sąsiadów, panią Rolewską. Chciał ją rozwieść i ożenić się z nią. Ale Rolewski wszelkimi siłami sprzeciwiał się rozwodowi. Przez kilka lat trwała o to walka. Rolewska cały ten czas spędzała z Połońskim zagranicą. W końcu Rolewski, który był chorobliwie do niej przywiązany, widząc, że jej nie odzyska, odebrał sobie życie. Od razu tłumaczono to i w inny sposób, nieuleczalną chorobą, jakiej się miał nabawić. W każdym razie samobójstwo jego wywarło na Rolewskiej tak wstrząsające wrażenie, że zerwała z Połońskim i zupełnie usunęła się od życia.

— Nie przypuszczał pan zapewne — dodała panna Siewska ze smutnym trochę uśmiechem — że aż tyle dawnych wspomnień pan tu znajdzie.

Połośki zrozumiał teraz przykre wrażenie, jakie się odbiło na twarzy pani Otockiej, gdy mówili o jego stryju.

— Pan nie wiedział, że ciotka moja drugi raz wyszła za mąż — odezwała się panna Siewska.

— Nie.

— Kilka lat temu dopiero. W ostatnim roku wojny. I po dwóch latach owdowiała.

— Boję się — odezwał się Połośki — czy moja wizyta nie sprawia jej przykrości.

— Nie. Dziś już wszystkie te wspomnienia w niej wygasły. Zdziwaczała zupełnie. Żyje tylko skąpstwem.

W tej chwili pani Otocka wróciła do salonu. W ślad za nią ukazała się służąca z tacą, na której stały trzy filiżanki herbaty i kilka talerzyków z ciastkami. W oczach panny Siewskiej odmalowało się na ten widok

osłupienie, może nawet większe niż po zobaczeniu w salonie Połńskiego.

Połński zaczął się teraz przyglądać pani Otockiej z niesłychanym zaciekawieniem. Więc to była kobieta, dla której mąż w łeb sobie strzelił, a jego stryj zmarnował życie. Starał się odgadnąć z rysów jej twarzy jak wyglądała za młodu, w żaden jednak sposób nie mógł się dopatrzeć śladów piękności.

— Nie, ładna nigdy nie była — myślał.

Ale przyroda nie jest tak obojętna, jak ludzie utrzymują. Ma swoje kaprysy i czasami obdarza brzydkie kobiety przywilejem nieprzepartego, prawie magicznego wpływu na mężczyzn. Tylko w ten sposób Połński mógł sobie wytłumaczyć powodzenie pani Otockiej. Nie zastanawiał się zresztą nad tą kwestią zbyt długo.

Po herbacie musiał obejrzeć mieszkanie. Oczywiście, największe, a nawet jedyne zaciekawienie budził w nim pokój panny Siewskiej. Ale pozwolono mu tylko zajrzeć do wnętrza przez uchylone drzwi. Przy tej okazji znów nastąpiło starcie między siostrzenicą a ciotką, ponieważ pani Otocka uważała, że Połński powinien dokładnie pokój obejrzeć. Panna Siewska jednak oparła się temu żądaniu. U wejścia do korytarza, prowadzącego z jadalni do kuchni obie kobiety zatrzymały się dyskretnie, nie chcąc narażać Połńskiego na drażliwe sytuacje. On jednak nie zagłębiał się w badanie mniej reprezentatywnych części mieszkania. Postał chwilę za zamkniętymi drzwiami, słuchając sprzeczki pani Otockiej z siostrzenicą.

— Czemu żeś mu nie pozwoliła wejść do swego pokoju? Myślałby kto, że masz tam Bóg wie jakie tajemnice. Ten, kto kupuje mieszkanie, ma prawo do każdego kąta zajrzeć.

— Ależ ciocia nie sprzedaje.

— Sprzedam. Do hotelu się przeprowadzę, a sprzedam. Mam dość tej męki. Mnie się także należy wypoczynek. Ma się rozumieć, ty jesteś za tym, żebym nie sprzedawała, bo chcielibyście je zagarnąć z Adolfem.

— A, więc narzeczonemu na imię Adolf — pomyślał Połoński. I zrobiło mu się nieprzyjemnie. Adolf zaczął nagle dla niego istnieć. Do tej pory był jakimś nic nieznaczącym cieniem, o którym nie warto było nawet myśleć. Wróciwszy do pokoju przyjrzał się bacznie pannie Siewskiej. Nic jednak z wyrazu jej twarzy nie mógł wyczytać.

Ale w chwilę potem spotkała go miła niespodzianka. Pani Otocka użyła w rozmowie określenia „narzeczony mojej siostrzenicy”, a po twarzy panny Siewskiej przebiegł grymas niezadowolenia. Połoński uznał to za dobry znak.

Wizyta jego trwała już przeszło godzinę. Ale czuł, że może ją przedłużyć. Pani Otocka odnosiła się do niego coraz serdeczniej, zobaczenie bratanka Eustachego Połońskiego musiało w niej zbudzić jakieś dawne wspomnienie, bo nie umiała ukryć zdenerwowania. Połoński wyczuwał, że pragnęła pomówić z nim o stryju. Ale był zmieszany niespodziewanym odkryciem i wprost unikał tego

tematu. Pani Otocka także widocznie nie wiedziała, jak go poruszyć. Kierowała tylko wciąż rozmowę ku wspomnieniom z dawnych czasów. Połowski zauważył, że kilka razy z wyraźnym zniecierpliwieniem spoglądała na siostrzenicę, jak gdyby ją obecność panny Siewskiej krępowała. Panna Siewska zauważyła to także sama i nagle wyszła z salonu.

Połowski z nerwowym niepokojem wyczekiwał pytań pani Otockiej. Ona oparła ręce o stół, przymknęła oczy i siedziała tak nieruchomo. Kiedy po chwili podniosła wzrok na Połowskiego, twarz jej przybrała już powoli obojętny i zimny wyraz. Wróciła do suchego tonu i już go traktowała jak interesanta, który przyszedł kupować mieszkanie. Ale ostateczną decyzję odłożyła do następnego dnia. Połowski niczego innego nie pragnął. Już był pewien, że nazajutrz pani Otocka znów odłoży decyzję do pojutrze, a chodziło mu tylko o to, żeby co dnia mieć pretekst do odwiedzin i w ten sposób zaaklimatyzować się w domu.

Nazajutrz rano zdał sobie sprawę, że godzina szósta, którą mu wyznaczyła pani Otocka, była stanowczo zbyt odległym terminem dla jego nerwów. I o trzeciej znalazł się na Złotej przed domem, w którym się mieściło biuro Malińskiego i Knakowskiego. Kpił z siebie, że się zachowuje jak zakochany student, ale cierpliwie wystawał przed bramą, uważając tylko, żeby nie wpaść na Malińskiego albo Knakowskiego, którzy także o tej porze mogli z biura wychodzić. Najbardziej niepokoiła go myśl, żeby nie towarzyszyli panie Siewskiej, bo w takim razie musiałyby zrezygnować z

przybliżenia się do niej. Zdradziłoby to przed Malińskim i Knakowskim tajemnicę śniadania, no i mogłoby ich naprowadzić na najfałszywsze domysły.

Na szczęście los się okazał dla niego łaskawy. Po dziesięciu minutach czekania ujrzał pannę Siewską. Szła sama. Szybko ją dogonił i powitał ukłonem.

— O, jest pan — odezwała się wesoło.

W tonie jej głosu był taki odcień, jak gdyby umówili się na to spotkanie. Połońskiemu sprawiło to dużą przyjemność. Czekając na pannę Siewską, postanowił, że przede wszystkim musi rozmówić się z nią o narzeczonym. Ale kiedy szli obok siebie, ogarnęło go wahanie. Jeśli miał coś przykrego usłyszeć, to czy nie lepiej było to odsunąć?

— Nie, nie lepiej — odpowiedział sobie od razu w myśli. — Lepiej od razu wiedzieć wszystko.

Wąski, zatłoczony chodnik, na którym co chwila ktoś im zastępował drogę, nie bardzo się nadawał do rozmów tego rodzaju, ale Połoński, gdy się raz na coś zdecydował, to już nie umiał tego odkładać. Jednak nieoczekiwaną trudność sprawiło mu sformułowanie pytania. Nie wiedział, jak zacząć, mimo że na pozór było to proste i łatwe.

— Dziwna rzecz — roześmiała się nagle panna Siewska. — Jako nieznajomy, który mnie zaczepiał na ulicy, był pan bardzo wymowny, a teraz kiedy pan ma prawo bawić mnie rozmową, nic pan nie mówi.

— Owszem, bardzo pragnę pomówić z panią o pewnej sprawie, tylko boję się, czy nie będę niedyskretnym — odparł Połoński.

— To może odpowiem panu niepytana? Już nie.

— Jak to mam rozumieć?

— Już nie jestem narzeczoną. Zerwałam.

— Doprawdy, pani jest jasnowidząca.

— Nie, tylko mam trochę intuicji. Zresztą zaobserwowałam wyraz pańskiej twarzy wczoraj, jak pan usłyszał, że mam narzeczonego i wiedziałam, że wcześniej czy później zapyta mnie pan o niego.

— A kiedy pani zerwała?

Panna Siewska roześmiała się wesoło.

— W każdym razie przedtem, nim miałam przyjemność zobaczyć pana w bramie na Nowym Świecie. Proszę z racji swojego snu nie być zbyt bardzo zarozumiałym.

— Wtedy kiedy panią zaczepiłem w bramie, wracała pani od rodziców swego narzeczonego.

— Tak. Widzę, że pan wszystko wie. W poprzednim wcieleniu musiał być pan jakimś znakomitym detektywem.

Połoński spoważniał nagle i po chwili milczenia zwrócił się do panny Siewskiej prawie opryskliwym tonem:

— Czy pani zgodzi się zostać moją żoną?

Panna Siewska zaczerwieniła się gwałtownie. Po chwili roześmiała się sztucznie.

— W staroświeckich powieściach panny odpowiadały na takie pytanie: „Niech pan pomówi z mamą”. Ja jestem na wskroś nowoczesną panną, ale w każdym razie zdaje mi się, że pańska decyzja jest zbyt szybka. Znamy się dopiero od wczoraj.

— Sama pani mówiła, że jeśli się znamy ze snów, to możemy się znać od tysiąca lat.

— Czy pan myśli o małżeństwie na jawie czy we śnie?

— O jak najrealniejszym, na jawie.

— Ja na jawie nie umiem się decydować tak szybko.

— A na zerwanie z pierwszym narzeczoną szybko się pani zdecydowała?

— Skąd pan wie, iż to był mój pierwszy narzeczoney, może drugi, albo trzeci? Nie, nie, nie — roześmiała się widząc badawczy i trochę niespokojny wzrok Połońskiego — to był niestety mój pierwszy narzeczoney.

— Dlaczego, niestety?

— No, bo zważywszy mój wiek, dość późno się doczekałam narzeczeństwa. Ile pan ma lat? — zwróciła się nagle do Połońskiego.

— Trzydzieści dziewięć — odparł, ujmując sobie dwa lata.

Sam nie wiedział, dlaczego skłamał, tak mu się jakoś machinalnie wyrwało, uczuł od razu rodzaj skruchy, ale już za późno było się poprawiać.

— Jestem od pana o pięć lat młodsza. Ale wracam do pańskiego pytania, z Adolfem...

Połońskiemu nie podobało się to, że nazwała jego poprzednika tylko po imieniu, nawet nie dodając „z panem”. Panna Siewska odwróciła na chwilę głowę, mógł to być ruch machinalny, ale wzbudził w nim podejrzenie, że chciała ukryć zmieszanie.

— Z moim narzeczonym — poprawiła się od razu — zerwałabym może szybciej, niż to się stało, gdyby nie to, że wyjechał do Paryża. Wbiłam sobie w głowę, że zrywanie listowne jest pewnego rodzaju niełojalnością, że takie rzeczy trzeba mówić osobiście w oczy. To nie miało sensu, bo daleko większą niełojalnością było przeciąganie fałszywej sytuacji. W końcu więc napisałam do niego.

— Odpisał pani?

— Telegrafował i pisał. Matka jego także pisała do mnie. Właśnie wtedy, kiedy mnie pan zaczepił w bramie, wracałam po ostatecznej rozmowie.

— Złą chwilę obrałem — odezwał się Połoński.

— Każda chwila byłaby zła — odparła panna Siewska z nagłym grymasem niezadowolenia.

— Prawda, przepraszam.

— Zresztą przyznaję, że byłam strasznie zdenerwowana. Mogłam była odpisać i nie chodzić, ale poniosło mnie... Nie chciałam, żeby przypuszczała, że się jej boję.

— Dziwna rzecz, że pani zdecydowała się na to tego samego dnia, kiedy panią spotkałem.

— Dobrze się stało.

— Dlaczego?

Połoński zadał to pytanie, żeby usłyszeć przyjemną odpowiedź. I nadzieja go nie zawiodła. Panna Siewska odpowiedziała mu tylko uśmiechem, ale ten uśmiech był wyraźny:

— Czyż jesteś taki głupi, że nie rozumiesz?

Kiedy ją zegnał przed domem, mimo że nie miał jeszcze wyraźnej odpowiedzi, czuł się już narzeczonem.

— Sądzone jest, że się mamy jeszcze raz dzisiaj zobaczyć — odezwała się z uśmiechem panna Siewska.

— A tak, pani Otocka kazała mi przyjść o szóstej.

— Ale niech pan jeszcze nic nie mówi ani o naszym spotkaniu, ani o rozmowie.

— Dlaczego?

— Później panu wytłumaczę.

Połoński po raz trzeci ucałował rękę panny Siewskiej na pożegnanie, ale kiedy pozostał sam, wpadł w niewyraźny, przykry nastrój. Nie rozumiał jej tajemnicy przed ciotką. Nie byli dzieciakami, które się zaręczają w tajemnicy. Zaczęły mu się snuć wśród myśli nieokreślone podejrzenia. Przede wszystkim wydał mu się niewyraźnym stosunek panny Siewskiej do pierwszego narzeczonego („Adolfa”...) Skąd te wszystkie skrupuły przy zerwaniu albo takie charakterystyczne powiedzenie o jego matce: „żeby nie przypuszczała, że się jej boję”. Skoro tak się mówi, to się ma powody do obawy. Więc z Adolfem musiało ich coś mocno łączyć.

Potem przyszło drugie przykre odkrycie: nie była szczerą, kłamała. Ten tajemniczy Adolf na pewno nie był jej pierwszym narzeczonem. Sama zresztą się przyznała: „Skąd pan wie, że pierwszy, może drugi, albo trzeci”. Potem obróciła to w żart, naumyślnie. Nie było w tym nic dziwnego, iż mogła kilka razy w życiu zaręczać się i zrywać. Na pewno się bardzo podobała. Ale — dlaczego ukrywała to?

W fatalnym humorze poszedł na obiad. W garderobie restauracyjnej spotkał Knakowskiego. Kresowy szlachcic zmieszał się widocznie na jego widok i odwrócił, chcąc uniknąć spotkania.

— Co to ma znaczyć — zdumiał się Połoński.

I chcąc sprawę wyjaśnić, od razu sam zaczął Knakowskiego.

— Nie poznaje mnie pan?

Knakowski rozłożył ręce jakimś beznadziejnym ruchem.

— Ładnego wyobrażenia pan o nas nabiera...

— Nie rozumiem pana.

— Ja nie wiem, co temu łajdakowi do głowy przyszło, żeby się podawać za naszego dobrego znajomego — wybuchnął Knakowski, czerwieniąc się na twarzy. — Ja osobiście dwa razy w życiu się z nim zetknąłem i za każdym razem rozmawialiśmy po parę minut.

— Ale o kim pan mówi?

— No, o Grzysiewiczu.

— Cóż on panu zawinił?

Knakowski z wyraźnym zdumieniem w oczach spojrzął na Połońskiego.

— To pan nic nie wie? Nie czytał pan dzisiejszych pism?

— Nie.

— Grzysiewicza aresztowali.

Połoński kazał chłopcu restauracyjnemu przynieść sobie pisma. We wszystkich były obszerne opisy skandalicznej sprawy. Przy tej okazji wyszło na jaw, że

dyrektor banku, na którego czele stał Grzysiewicz, już przed wojną siedział w więzieniu.

— Skończy się zabawa w jaśniepana — mruknął Knakowski, który usiadł z Połońskim przy jednym stoliku.

Połośki nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Zawsze wzdychał do przedwojennego komfortu. Ciekaw jestem, czy dojdzie do wniosku, że i więzienie przed wojną było lepsze.

Dla Połośkiego była to jednak nieprzyjemna sprawa, ponieważ w ciągu tygodniowego pobytu w Warszawie co dzień prawie spotykał się po restauracjach z Grzysiewiczem i domyślał się, że Grzysiewicz na wszystkie strony musiał rozpowiadać, że ich łączą przyjacielskie stosunki. Naprawdę znali się od tygodnia. Szczęściem dla Połośkiego było jeszcze to, że nie załatwił ostatecznie sprawy sprzedaży majątku. Jednak do reszty stracił humor.

Pierwsze słowa, jakimi o szóstej powitała go panna Siewska, były:

— Pan miał duże jakieś zmartwienie.

— Pani stanowczo jest jasnowidzącą. Po raz drugi to stwierdzam — roześmiał się wesoło, zapominając od razu o wszystkich niepewnościach i podejrzeniach, jakie go przez kilka godzin trapiły.

— Nie o to chodzi. Proszę mi opowiedzieć, jakie pan miał zmartwienie.

— Zmartwieniem nie można tego nazwać. Nieprzyjemność.

I przywitawszy się z panią Otocką, która weszła do salonu, opowiedział o aresztowaniu Grzysiewicza. Pani Otocka rozłożyła ręce i z dziękczynnym wyrazem wzniosła oczy do góry.

— Dzięki Bogu, że go aresztowali.

— Dlaczego?

— Bo pan nie sprzeda majątku.

Przez cały czas wizyty, która przeciągnęła się do jedenastej wieczorem, przeważnie o tym była mowa. Na próżno Połowski tłumaczył, że się nie zna na gospodarstwie i nie lubi wsi. Wszystkie jego argumenty pani Otocka zbijała jednym, swoim niezmiennym, że się ziemi nie sprzedaje. Bo głównie ona o tym mówiła. Panna Siewska w dyskusji o sprzedaży majątku nie zabierała głosu, kilka tylko razy potakującymi ruchami głowy podkreślała, że się z ciotką najzupełniej zgadza. Połowski tłumaczył sobie jej milczenie subtelną delikatnością.

— Wie, że dla niej nie sprzedałbym majątku i nie chce mi narzucać swojej woli — myślał i ogarnęło go uczucie słodkiego roztkliwienia.

Wreszcie zwrócił się do niej wprost.

— A pani co woli, wieś czy miasto?

Popatrzyła na niego z zagadkowym uśmiechem i odparła po chwili.

— Miasto,

— Naprawdę?

— Naprawdę. Ale przecież można mieć majątek i mieszkać w mieście — dorzuciła.

Towarzysze biesiady, na której Kolumb uzupełniał kwestionowaną swoją sławę odkrywcy Ameryki niezaprzeczalnie już mu przyznanym wynalazkiem stawiania jajek na stole, musieli doznać takiego samego uczucia, jak Połoński po usłyszeniu tej odpowiedzi.

— Jakie to proste.

Roześmiał się wesoło i zwrócił się do pani Otockiej.

— Przekonała mnie pani, nie sprzedam. Panna Siewska podziękowała mu uśmiechem „ze snu”.

— Zdaje mi się — ciągnęła pani Otocka rozentuzjasmowana — że ta pańska niechęć do wsi to urojenie. Przecież pan się na wsi urodził.

— Nie. Majątek dziadków przeszedł na stryja.

Połoński spostrzegł, że pierwszy raz wspomniał o stryju i ciągnął szybko, jak gdyby chcąc to cofnąć.

— Mój ojciec był lekarzem. Kiedy kupił ten folwarczek pod Mińskiem miałem już sześć lat.

— Więc w każdym razie dzieciństwo spędził pan na wsi. Matka pańska bardzo lubiła wieś.

To nakierowało znowu rozmowę na dom doktorowej Rucińskiej, u której pani Otocka poznała matkę Połońskiego. Żywo i z drobiazgową dokładnością zbudziły mu się w pamięci obrazy wizyt u doktorowej w miasteczku. Przy wsiadaniu na bryczkę zawsze były kłótnie z siostrą o miejsce. Odświętnie przybrani, opakowani w niezliczone szale, jechali zimowym, wczesnym rankiem przez nagie przymglone pola. Wszystko było jakieś inne, niezwykle: świąteczna pustka na polach, tajemniczy las, mnóstwo kraczących

wron, drobne światełka w szybach i przydrożne, oddalające się choiny. Po przyjeździe zaczynało się sakramentalne oglądanie starych rozlatujących się roczników „Kłosów” i „Biesiady Literackiej”. Znali z siostrą wszystkie obrazki na pamięć ale zawsze rzucali się na nie z nowym zaciekawieniem. Zawsze też podziwiali haftowanego paciorkami psa ze szpicrutą w zębach, który wisiał nad kanapą przy kominku. Po kolacji przy stole nakrytym obrusem w niebieskie kwiatki snuli się jeszcze po pokojach coraz bardziej rozgrzani, aż wreszcie ogarniał ich błogi półsen. Z daleka, niewyraźnie dolatywały monotonne odgłosy winta: „pas, pięć karo, bez atu, szlemik w pik”, czasem budziła ich głośniejsza kłótnia: „Przecież pokazywałem pani drugiego króla do pani asa, jakżeż można” albo wołanie pani Rucińskiej: „Kazik, daj świece, bo te już nam zaraz zgasną”. Potem już nie można ich się było dobudzić.

Połońskiemu snuł się w głowie obraz dawnych wspomnień, doznawał jednak dziwnego uczucia, że wciąż w nim brakowało panny Siewskiej. A raczej, że była tylko osnuta jakby warstwą mgły, przez którą jego pamięć nie mogła się przedostać.

Rozmowa się urwała i przez chwilę siedzieli wszyscy w milczeniu. Pani Otocka wstała nagle.

— Bawcie się teraz państwo sami, ja muszę przygotować herbatę.

I wyszła z pokoju.

Połoński zwrócił się do panny Siewskiej.

— Czemu pani nie kazała mi mówić pani Otockiej o tym, żeśmy się spotkali?

I po chwilowym wahaniu dorzucił:

— I o naszej rozmowie?

Panna Siewska spoważniała.

— Moja ciotka nie wie jeszcze, że zerwałam.

— Nie mówiła jej pani? Dlaczego?

— Muszę ją jakoś do tej wiadomości przygotować. Moja ciotka miała ciężkie przejście w życiu... pan wie, ma się rozumieć.

Połoński skinął potakująco głową.

— To ją wpędziło w pewną manię. Kiedy zaraz na początku tego mojego bezsensownego narzeczeństwa miałam zamiar zerwać, zaklinała mnie prawie na klęczkach, żebym tego nie robiła, bo się bała, że mój narzeczony odbierze sobie życie. Niepodobna było się z nią sprzeczać. Jeżeli w ogóle to wszystko tak długo trwało, to po prostu dlatego, że ona mnie terroryzowała.

— I uwierzyła pani, że pani narzeczony może odebrać sobie życie?

Panna Siewska wzruszyła ramionami.

— Tak naiwna nie byłam.

— To z ciotką będzie jeszcze przeprawa.

— Będzie, ale trudno.

W tym „trudno” słyhać było „to już poważna sprawa, teraz z dziwactwami ciotki nie będę się liczyła”.

Połoński pochylił się i pocałował ją w rękę.

W tej chwili pani Otocka wróciła do salonu.

— Niech pan patrzy — odezwała się do Połońskiego, podając mu fotografię grupy kilku osób.

— Ta fotografia była robiona u Rucińskich. Jeszcze za życia jej męża, pana wtedy prawdopodobnie jeszcze na świecie nie było.

— Prawda — uśmiechnął się Połoński. — To państwo się fotografowali na werandzie od ogrodu.

W tejże samej chwili z niewypowiedzianym zdumieniem spojrzął na pannę Siewska.

— Co to, pani na tej fotografii?

— Ja — roześmiała się wesoło — mówiłam panu przecież, że jestem bardzo stara.

— Nie, bez żartów, kto to?

— Moja matka,

— Jakaż pani podobna do matki.

— Jej matka za młodu i ona to zupełnie jedna i ta sama istota — odezwała się pani Otocka. — Zupełnie rozróżnić ich nie można. Zwróciła się do siostrzenicy. — Pokaż panu fotografię matki, tę w skórzanych ramkach.

Panna Siewska wyszła z salonu i po chwili wróciła, niosąc trochę wyblakłą gabinetową fotografię w ramce z mocno już podniszczonej skóry.

— Ależ...!

Połoński aż oniemiał z podziwu. Przez chwilę wodził wzrokiem po fotografii i po panie Siewskiej. Na fotografii była panna Siewska w staroświeckiej sukni z bufiastymi rękawami.

— Tę fotografię na pewno pan widywał — odezwała się pani Otocka. — Stała w ramce u Rucińskich na kominku.

W tej sekundzie Połowski sobie przypomniał. Zobaczył dokładnie miejsce, w którym stała fotografia na kominku, obok drugiej fotografii jakiegoś pana w obcisłych spodniach, bardzo wciętej marynarce i z bujną okrągłą brodą.

I zrozumiał swój sen. Otworzyła mu się jakaś skrytka w mózgu i wystąpił obraz odbity w dzieciństwie, który nieświadomie nosił przez całe lata.

— To mnie się matka pani śniła — odezwał się do panny Siewskiej półgłosem.

— To dziwne — odparła panna Siewska.

— Dziwne.

I uśmiechnęli się do siebie serdecznie.

Włodzimierz Perzyński
Panna ze snu

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-313-2
Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl